

Kulcia i dwóch tatusiów, z których jeden to biały bóg

Dziewucha o Julii: Julia zastanawia się później często, co by było, gdyby nie śliwki, których nażała się popołudniem przed porodem przy robieniu powideł, a które później w jej brzuchu napęczniały, zmieniły się w brunatnego, kosmatego potwora, zabrały Kulci powietrze i wypłoszyły z bezpieczeństwa macicy dwa miesiące przed terminem, dziewięćsetgramową i zdecydowanie na życie nieprzygotowaną. Nie można tego Kulci wypomnieć, w końcu mało kto pchałby się na świat, ważąc tylko tyle. To wszystko śliwki.

Ciocia Irenka, co zjechała do Julii mamy je smażyć, strasznie te węgierki zachwalała, puszyła się, że niepryskane i słodkie, jak nigdy.

Głupia kobieta.

Potem, usłyszawszy od Julii mamy, a babci Kulci, że Julia z tych Irenkowych śliwek postanowiła aż urodzić, powiedziała jeszcze, że gdyby się Juleczka, tak, Juleczka, właśnie tego słowa użyła, jeszcze parę dni wstrzymała, toby akurat prezent na pierwszą rocznicę ślubu był. Tego z W. Szymczakiem.

Stało się jednak, zeżała Julia te śliwki, więc poradzi sobie teraz ze spustoszeniem, jakiego narobiły pod postacią burego, na wpół strawionego monstrum.

W. Szymczak zawiózł do szpitala, zawsze zawoził, czekał, odbierał, taksówkarz po prostu. Wcześniej osobistym datownikiem podbiła Julia dokument podpisany przez ginekologa, *gdyby coś*. Dużo wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby się żadne *gdyby coś* nie wydarzyło, ale się wydarzyło.

Wpadli z W. Szymczakiem do szpitala, W. Szymczak - jak rzadko kiedy - poruszał ustami, chyba nawet po to, żeby coś powiedzieć pożytecznego, wreszcie kazano się Julii położyć. Studentka o wyglądzie piętnastolatki posmarowała Julii brzuch żelem, o którym brzucha właścicielka powiedzieć mogła wyłącznie tyle, że zimny. Dziewczynka zaczęła jeździć głowicą po nienarodzonej jeszcze Kulci, wciąż chronionej przez Julii skórę, mnóstwo błon, Atlantyk wód płodowych i inne rzeczy. Sama Julia zaś skomentowałaby, że przyrząd do ues gie wyjątkowo do nabrzmiałego ciała w tym momencie nie pasował. Nie odezwała się jednak,

po pierwsze dlatego, że wraz z położeniem głowicy zmieniał się obraz na monitorze, czym była Julia bardzo poruszona; po drugie dlatego, że wykonywanym u siebie zainteresował się lekarz, nie ten Julii, ale nadal przecież ginekolog; wreszcie po trzecie dlatego, że skurcze stawały się powoli nie do zniesienia.

Gość w kitlu podszedł niepokojąco blisko.

Oddaj mi to, poprosił, choć mało kulturalnie. Sam sobie wziął przyrząd, wyrwał studentce zabawkę.

Dziewczynka czmychnęła w popłochu.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża, duża. Trochę nie rozumie, o co wszyscy płaczą, gdy ją widzą. I czemu boją się brać Kulcię na ręce.

Chyba przez kanciaste akwarium, gdzie dużo rurek pomaga oddychać. Bez wody. Woda pomaga oddychać rybkom, dużo rurek pomaga oddychać Kulci. Kulcia prawie jak rybka. Usteczka bardzo podobne. Mama przychodzi, głaska po stópce, prosi, żeby móc jeszcze chwilkę. Łaskocze, jak się mama nie skupia na głaskaniu. Wychodzi i znów nuda. Kulcia by jeszcze pospała.

Nawet poza akwarium bez wody, za to z rurkami i serduszkami od Kulci strony białym, a jak zaświeci słońce, trochę jednak czerwonym, też nie chcą Kulci dotykać. Tylko mama.

Mama cieszy się, gdy jej biali bogowie w końcu pozwalają. I wcale nie boi. Kulcia wie, przez to nie boi się sama.

Potem jest wyprawa do białego boga za siedmioma biurkami, raczej jakiegoś ważnego, bo wyprawa do niego trwa długo. Mama z tym białym bogiem sporo rozmawia, jednocześnie mało płacze, ale trochę. Używają dużo trudnych słów, dużo -ologów i -stów.

Ma Kulcia wycieczkę z ramion mamy na wielką, włochatą dłoń białego boga. Trochę ta dłoń jak rajska wyspa, ale z bardzo twardego kamienia. Kulcia chce do mamy szybko wrócić. Krzywi się i lecać leżki.

Mamie też lecać, ale inne, ona nie chce do mamy. Biały bóg mówi smutno. Dlatego mamie coraz bardziej lecać. Zły z niego bóg. Bóg wszystko może, dlaczego wybiera mówienie smutno?

Biały bóg na koniec daje mamie podarek. Daje się ludziom podarki, żeby nie płakali, żeby nie chcieli do mamy. Podarek od ważnego białego boga zza siedmiu biurek to jest kawałeczek papieru zapisany -ologami i -stami, krzyżykami, kropkami, obcymi literami nie do czytania. Krzyżyki po to, żeby mama nawet nie szukała -stów za darmo, bo czas minie. Szukać zaraz może nie być potrzeby, długo się zastanawiać nad -ologami i -stami nie wolno.

Kropki są tylko dwie.

Dziewucha o Julii: Julia trzeźwieje po cesarce w trymiga, co inni trochę podziwiają, a trochę karcą, że serca nie ma i jej to dziecko w ogóle nie ruszyło, nieprawda, ruszyło, właśnie dlatego trzeba w trymiga otrzeźwieć, że ją ruszyło. Potem będzie doradzać znajomym, córkom znajomych, znajomym córek znajomych, ciotkom i kuzynkom, że szybciej się wstaje niż po rodzeniu naturalnym, choć przecież naturalnie urodzić nigdy się nie starała, a Kulcię śliwkowe straszycło wypycha na świat raptem raz. Za kolejnym nie otrzeźwiałaby równie szybko, umówiła się tak sama ze sobą, i do warunków tej umowy dorzuciła zaraz, że teraz to musi, bo Kulcia już na świecie.

Bardzo Julii w trzeźwieniu pomaga świadomość, że Kulcia już na świecie; możliwość dotykania Kulci całej, nie tylko łaskotania Kulcinej stópki. Pomaga też mama W. Szymczaka, sam W. Szymczak z kolei nieszczególnie. Wozi od pediatry do pediatry, kupuje pampersy, kompletnie inne od tych, które by Julia chciała, łatwo się rozklejają, ale W. Szymczak kupuje, więc Julia nie narzeka.

W. Szymczak czeka w aucie. Kulci robią dno oka, wobec czego Kulcia stanowczo protestuje wierzganiem i bekiem; wobec czego Julia nagle strasznie zaczyna chcieć do teściowej. Mamy własnej to Julia z wyboru za bardzo nie posiada, się z W. Szymczakiem dogadać nie mogli. Po czasie ją Julia zresztą dość dobrze rozumie, bo też już nie potrafi się z W. Szymczakiem dogadać. Mądra to była kobieta, zamiast której została mamusia W. Szymczaka, też mądra, ale niewłasna.

Potem docenia jednak Julia czas teściowej, dna oka i nietrzymających - zarówno się, jak i kupy – pampersów, bo wtedy nic Kulci nie trzeba tłumaczyć, co prawda jednocześnie Kulcia w ogóle nie mówi, ale wyłącznie dlatego, że ludzie w tym wieku tak mają, więc cena żadna.

Gdy Kulcia kończy trzy latka, to jest: kiedy pierwszy raz można coś w jej ciałku skalpelem namówić, by stało się lepsze, Julia decyduje się na przecięcie ścięgna Achillesa,

prowadzi specjalny zeszytik od Kulcinych doktorów i operacji, to wie, choć wydaje jej się, że w nocy o północy by wyrecytowała.

Pani w szpitalu da ci maseczkę, która sprawi, że zaśniesz. Na buzię. Nie, niedługo. Będę cały czas. Ja też nie chcę, odpowiada Julia na każde Kulcine pytanie po kolei.

Żadnego jąkania, Julia dawno postanowiła, długo przed Kulci narodzeniem, że bystre to będzie dziecko. Po Julii, przecież nie po W. Szymczaku, ludzie złoci.

Mnóstwo Julia podobnych bajek układa, po równo dla siebie i dla Kulci.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża, duża. Dużo się przewraca, tak generalnie. Mama bierze wtedy na rączki i mówi, że będzie wszystko super. Tatuś wtedy nic. I w ogóle też niewiele.

Mama robi miny. Za siebie i za tatusia, tatuś ma zawsze tylko jedną twarz i jeden głos. Mama czasami udaje, że jest Kulcia jeszcze małym dzieckiem. Wydyma wtedy wargi, można łatwo rozróżnić. Czasem krzyczy, że z Kulci straszna bałaganiara. Albo tłumaczy sprawy, których zazwyczaj małe dzieci i duże mamy nie znają, a Kulcia zna. I w tych sprawach ciągle jakieś nowości, choć ćwiczenia muszą być w każdy wtorek. Ćwiczyć Kulcia nie lubi. Nuda, która do tego boli. Aż Kulcia trochę współczuje małym, ruchliwym bąbelkom, co się na nią składają; częstego obijania się z Kulci wewnątrz i zewnątrz. Trochę te kuleczki nierozgarnięte. Kulcia im mówi, gdzie mają polecieć, a one głuche.

Obijają się tak i obijają, póki pan od ćwiczeń też się nad nimi jak Kulcia nie ulituje i nie powie, że starczy. Potem, przed spaniem, czasami się trochę złością za to obijanie, zwłaszcza o siebie. Puszczają po Kulci prąd, żeby się odegrać.

Wtorki mają dużo małych wtoreczków. Co siedem dni nowy. Pół dnia to jedna zabawa petszopami, zwierzątkami z plastiku, co im się głowy ruszają. Ciekawe, czy plastikowe zwierzątka oddychają plastikowym powietrzem.

Zdarza się też nieraz jakaś nowość, inny biały bóg albo coś nawet większego. Ostatnio na przykład spanie w szpitalu, za siedmioma biurkami białych bogów. Dwa takie spania w jednym dniu.

Raz krótko i sztucznie, bo Kulcię gazowym plastikiem biali bogowie zmusili. Była na dodatek bez ubrań. I jeszcze pokłuli, a niby biali z nich bogowie, znaczy niewinni. Potem

z mamą w jednym łóżku, przez całą noc, więc im Kulcia to klucie wybaczyła. Mnóstwo rzeczy musi życiu wybacząć.

Poprawili nogę. W końcu bogowie.

Tylko potem to strasznie boli, gdy już ich nie ma w pobliżu. W końcu bogowie.

Powiedzieli, prawie do Kulci, ale bardziej do mamy, że tak ma być. W końcu bogowie.

Dziewucha o Julii: Julia dzieli kilka pierwszych lat Kulcinego życia między namawianie jej, żeby chodziła i noszenie na rękach; między ochranianie jej przed upadkiem na kamienistych ścieżkach i naklejanie plasterków z Kubusiem Puchatkiem na zdarte kolanka; między nakłanianie jej, żeby cokolwiek zrobiła samodzielnie i ścieranie rozlanego mleka, wciąganie odkurzaczem rozsyanego cukru i pranie spodenek ufajdanych dziecięcym gównem w odcieniu żółtej ochry.

Kulcia, jeśli już chodzi, powłóczy nóżkami chudymi jak słomki do napojów obleczone skórą, z czego jedną dodatkowo trzy i trzy dziesiąte centymetra za krótką. Julię to raz na jakiś czas nieco irytuje, to znaczy te brakujące trzy i trzy dziesiąte centymetra, ale bardziej jednak Kulciny chód żywego trupa.

Nie bądź zombie, idź normalnie, mówi Julia przez zęby, lecz bez złości.

Przecież idę. Iście po prostu bardzo boli.

Jak nie będziesz podnosić nóg, będzie bolało jeszcze bardziej, radzi, wypowiadając słowa nieco sentencjonalnie.

Po każdej podobnej wymianie zdań Julia wyrzuca sobie, że upomina ślepego, że ten nie widzi; głupca, który pyta, w jaki niby sposób niepełnosprawność może życie utrudniać, ale przecież jest zdrowym głupcem, więc i tak nie zrozumie.

W pracy Julia mówi tyle, ile koleżanki zazwyczaj mogą sobie wyobrazić o myciu kogoś innego przez pięćdziesiąt minut dzień w dzień albo o tłumaczeniu nieznanym od czasu do czasu, że Kulcia nie jest powykrzywiana, bo krzywo spała, a dlatego, że... że...

Mówi Julia po prostu niewiele, przypominając sobie czasem w ostatniej chwili, że baśń o śliwkowym potworze jest na jej wyłączny użytek.

W pracy trzeba przede wszystkim pracować, aby wyjść po ośmiu godzinach, załatwić, co trzeba, nie ma tygodnia, żeby czegoś nie było, oświadczenie, skierowanie, wizyta, badanie, W. Szymczak taksówkarzem, a potem pędzić do domu, przecież dzieci są od tego, by się z nimi bawić, rysować i organizować im wycieczki, a nie umawiać kolejnych lekarzy.

Rehabilitanci, wszyscy, co do jednego - przez pięć pierwszych miesięcy Kulcia-niemowlę z Julią sprawdzają w sumie trzech, w tym jednego z listy od ordynatora szpitala – są zgodni, że Kulcia powinna chodzić jak najwięcej. Stara się jej więc Julia przy okazji pokazać trochę świata – tyle, ile się da, podróżując autem, pociągiem i dwoma słómkami do napojów. Żeby z Kulcinego dzieciństwa obie miały wszystko to, co większość matek i dzieci na świecie. Kino, *Krudowie*, zoo, cyrk, wesołe miasteczko, teatr, *Ania z Zielonego Wzgórza*, pani w kasie i Kulcia dziwnie patrzące, gdy Julia pyta o bestię z węgielek. Tak powiedziała. Brakło jej nadminut snu tej nocy.

Raz postanawia Julia zaszać i wywieźć Kulcię, gdzie Polska i W. Szymczak nie sięgają – tylko teściowej mówi, że do Wiednia, do miasta szpiegów, tortów i muzyki, do Haus des Meeres.

W poręczach biegają mrówki, w akwariach pływają rekiny, Kulcia objedzona torcikiem Sachera przełożonym konfiturą brzoskwiniową, a nie powidłem, wychyla się z balkonu, żeby zobaczyć, jak pan karmi krokodyla. Kulcia macha i krzyczy do pana *Hej*. Pyta ją Julia, dlaczego to robiła.

Bąbelki się zderzyły i mi kazały, Kulcia mówi.

Julia zastanawia się wtedy, czy to też z winy śliwkowego potwora, a z przezorności nie daje Kulci śliwek do jedzenia, gdyby miała Kulcia po nich szczęśliwie umrzeć, skoro wcześniej się nieszczęśliwie urodziła.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża. Jak jest jeszcze dzieckiem, liczy, że białych bogów będzie coraz mniej, im będzie starsza. Im jest starsza, tym więcej widzi. Im więcej widzi, tym lepiej wie, że białych bogów i ilości wdychanego plastikowego powietrza z wiekiem tylko przybędzie.

Wskutek tego lepszego widzenia zauważa też, że mama jakaś szczęśliwsza. Może nie z białych bogów za siedmioma biurkami, ale z jednego w miniszpitalu u nich w wiosce, w którym leczy się najwyżej grypę i potówki.

Wchodzą mu do gabinetu ostatnio jak do siebie, bo Kulcia chora. Kaszle i smarka. Do szkoły nie chodzi. Mama kłóci się przez telefon o wizytę, bo brakuje miejsc. Chyba całkiem nawet pocieszona, że wreszcie Kulcia tak po prostu przeziębiona. Że wreszcie coś ludzkiego, nie-biało-boskiego. Bo wchodzą mu do gabinetu jak do siebie, a on bez fartucha, nagi, niegotowy, przyłapany na gorącym uczynku. Śmie nazywać się tak samo jak tatuś i jeszcze robić miny, uśmiechać się, dziwić, marszczyć brwi i tym podobne rzeczy. Czoło na przykład.

Daje podarek, w końcu biały bóg, mimo że nakryty na ubieraniu się po śmiertelnemu i na dodatek bardzo przypominający w tym śmiertelnym ubraniu tatusia. Kulcia od niechcenia zwraca się do niego w ten sposób:

Tatusiu, poczytaj.

Popelnia chyba ogromny błąd.

Mała karteczka z długim słowem, które szybko stawia na nogi, zastyga na chwilę w dłoni białego boga. On sam wygląda, jakby rzeczywiście chciał Kulci poczytać, ale nie miał niczego do czytania pod ręką. Przepraszająco udaje twarzą banana. Mama po gołym białym bogu małpuje, też robi miny, aż ma zmarszczki od tego udawania twarzą banana. Wychodzą z Kulcią wreszcie.

Parę dni później zostawia Julia Kulcię z tatusiem na piętnaście minetek, czyli jakby Kulcię samą. Stroi się i idzie podziękować temu gołemu białemu bogu, że napisał właściwe długie słowo na małej karteczce.

Kulcia wie, bo widzi coraz więcej, a nowego podarku od gołego białego boga nie dostrzec naprawdę trudno. Oni zawsze wręczają to samo, małe karteczki, może są biedni i nie stać ich na nic więcej, to zrozumiałe.

Mama wygląda, jakby się jej bycie biedną z białym bogiem bardzo podobało. Bliźniaczka kartonika z długim słowem, które szybko stawia na nogi, wisi na lodówce i krzyczy w maminej głowie swoimi dziewięcioma cyframi. Kulcia nie umie ich odczytać.

Dziewucha o Julii: Julia się zakochuje w T. Szymczaku na złość W. Szymczakowi, który myśli, że Kulci choroba jest tylko na chwilę, na parę lat, choć właściwie nigdy nie sprecyzował, o jakim czasie myśli; a że Julia jest z kolei na zawsze. Zamknęli się wtedy w kuchni, Julia W. Szymczaka zwyzywała, porównując stopień jego wrażliwości do tego u pani z autobusu,

która poprosiła Kulcię o ustąpienie miejsca, bo przecież starsi siedzieć powinni, dzieci wcale nie muszą, a poza tym to ona jest po operacji kolana. Julia odezwała się wtedy, że córka jest po czterech, W. Szymczaka z nimi nie było, pani nadspodziewanie szybko poszła moralizować kogoś innego.

T. Szymczak na odwrót – wiedział, że Kulcina choroba na pewno jest na zawsze, a Julia prawdopodobnie tylko na chwilę, bo zameężna. Z czasem oboje usunęli z poprzedniego zdania długi wyraz na pe, krótszego składającego się na przysłówek nikt nie potrafił.

Julia umówiła się poza tym z bogiem z kościoła, swoją drogą, Kulcia mówiła na lekarzy *biali bogowie*, na każdego, na Biedrońskiego, Witka, Łatkę i pozostałych, na T. Szymczaka też; że oto ona, Julia, poradzi sobie z Kulci chorobą. Wówczas on, bóg z kościoła, co wszystko może, tylko zatrzymać śliwkowego potwora nie, przymknie boskie oko na romans z T. Szymczakiem, plujący na szóste przykazanie, listę grzechów wołających o pomstę do nieba i z całą pewnością jeszcze któryś zbiór zasad.

Traktat pokojowy, którego ustaleń trzyma się jak dotąd jedna i druga strona: Julia układa sobie życie w ten sposób, by przede wszystkim Kulci wszystko zapewnić, potem dopiero sobie, w gratisie dorzucając zagłądanie od czasu do czasu na mszę, a w Julię żaden piorun uderzyć jakoś nie chce.

Kwestia życia wiecznego jest więc załatwiona, o ile będzie Julia postępować dobrze po świecku, pora wziąć się za sprawy nie tyle nawet pilniejsze, co bliższe.

W pracy o W. Szymczaku wcale nie wspomina, nie było czego odwoływać ani dookreślać, o czym doinformowywać, matki Julia od czasu W. Szymczaka tak jakby nie miała, ojca nie miała tak jakby od czasu jego małżeństwa z Julii matką; sypiał generalnie na cmentarzu, rzadziej na dworcu, a ostatnio widziała go przy śmietnikach za sklepem. Się z Julii matką dogadać nie mogli, po czasie ją zresztą Julia dość dobrze rozumie.

Odhacza w głowie, że bogu z kościoła nic wyjaśniać nie trzeba, rodzicom też, a nagle wychodzi, że koleżanek wygodnie nie mieć, bo nie trzeba pilnować, której się wyjawilo które sekrety. Zostaje Kulcia, może od boga z kościoła istotniejsza, bo przecież gdyby była mniej ważna od czego-, czy kogokolwiek, Julia by jej wszystkiego nie poświęcała, nie mając żadnej pewności, że bóg z kościoła słyszał każdy warunek ich szeptanego kompromisu.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża, duża. Przedszkole też. Bawi się Kulcia z Rozalką w detektywów. Zabawa w detektywów polega głównie na chodzeniu na czworakach i ewentualnie udawaniu, że właśnie do chodzenia na czworakach się bycie detektywem sprowadza. Rozalce zdaje się nie przeszkadzać, że Kulcia chodzi na czworakach bardziej jak wąż niż pies. Nie należy Rozalka do dziewczynek, których rodziców zna mama Kulci, więc to trochę tak, jakby Julia czuwała nad Kulcią podczas zabawy w detektywów mniej, niż zwykle. O Rozalce Kulcia prawie w domu nie mówi.

W przedszkolu biali bogowie namówili Kulcię do oddychania plastikowym powietrzem jeszcze raz, oprócz tego pierwszego. Poprawili stopę, w końcu biali bogowie. Mama chodziła po świeże bandaża na niby do apteki, a tak naprawdę – do nagiego białego boga, żeby dostać dla Kulci jak najlepsze.

Inne nowości się w przedszkolu Kulci nie przydarzyły. Następna dopiero, gdy spała sztucznie i krótko po raz trzeci. W zerówce. Taka, na którą akurat bardzo Kulcia czekała.

Dziewucha o Julii: Julia raz tylko Kulcię zostawia - cztery lata temu, właśnie wtedy, gdy Kulcia śpi krótko i sztucznie po raz trzeci, a czuwają nad nią maszyny rozchodzące się od podziurawionych igłami, a może wcale nie, może bombami, rączek; ukraiński biały bóg, kilku polskich, pielęgniarki obu narodowości i brat Julii, na wszelki wypadek. Polak.

Gdyby chodziło o coś innego, nigdy by nie zostawiła, ale chodzi o Julię, o W. Szymczaka chyba, ewentualnie, kiedyś, dla obcej pani i o T. Szymczaka dla Julii i dla Kulci. Obaj bez wzajemnych relacji, wspólnych spotkań i więzów krwi, dodatkowo zupełnie od siebie różni, nie tylko wobec pojęcia czasu trwania małżeństwa, czy Kulcinej choroby. Kulcia jeszcze malutka, W. Szymczaka w ogóle pamiętać nie będzie, zresztą oni tacy z wyglądu podobni.

T. Szymczaka traktuje Kulcia lepiej niż ojca faktycznego, a może i tak samo, lecz różnica leży w tym, że przy T. Szymczaku oznacza to wzajemność. Powiedziała do niego *tato*, widząc go po raz pierwszy, chciała zostać, Julia uciec, uciekły obie, rozwarstwiona na matkę z córką, niezdecydowana masa ludzka.

Całość zajmuje mniej, niż krótki i wymuszony sen Kulci - wejście do sądu z W. Szymczakiem, załatwienie wszystkiego, wyjście bez niego i ostateczne z nim pożegnanie. Telefon do T. Szymczaka, że jutro biorą ślub. T. Szymczak się śmiejący, bo to taki kod,

w rzeczywistości tak się nie da, trzeba miesiąc poczekać, po prostu umawiają się z T. Szymczakiem, że Julia tak powie, na takiej samej zasadzie, jak ktoś wieki temu ustala, że bałwanek będzie wynikiem działania cztery plus cztery.

W którymś ze swoich o sobie wyobrażeń Julia jest kobietą przyzwyczajoną, że w rzeczywistości wielu rzeczy się nie da, na przykład wziąć drugiego ślubu, nawet takiego bez boga z kościoła, na następny dzień po pierwszym rozwodzie. Kulci też ściemnia kiedyś, że jeszcze Kulcia wyzdrowieje. Potem zastanawia się, kiedy powie jej, że to coś, co matematyka nazywa szyfrem, a język polski alegorią. Pełne alegorii są bajki, takie jak ta o śliwkowym potworze, opowiadana przez Julię dla Julii.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża, duża, a Kulci mama to już całkiem. Dorosła w końcu do zrobienia, żeby biały bóg z nimi zamieszkał. Strasznie długo to zajęło, to mamy Kulci dorośnięcie, a Kulcia od razu wiedziała.

Mówi teraz Kulcia do białego boga *tato* codziennie, całkiem jak wtedy, w przychodni, kiedy udawanie twarzą banana i robienie min było jedynym, na co się mama Kulci z białym bogiem zdobyli. A Kulcia od razu: *tatusiu*.

Wszystkim się Kulcia chwali, zwłaszcza Rozalce, podczas zabawy w detektywów, że ma nowego tatusia. Rozalka Kulcię dość dobrze wyczuwa.

Przychodzi biały bóg Kulcię z przedszkola odbierać, ona przypomina sobie tatusia pod względem chronologii numer jeden, pod względem bycia tatusiem numer dwa. Daje biały bóg na obiad spaghetti, z mięskiem, co podczas gryzienia nie wraca do wcześniejszego kształtu. Pierwszy raz Kulcia widzi podarek od białego boga inny, niż mała, biała karteczka. Wychodzi, że biały bóg wcale nie jest biedny, a mamie musiało się w nim coś jeszcze podobać. Taka nowość.

Czyta Kulci biały bóg z mamą książki na zmianę, misie i zajaczki mają odtąd dwa różne głosy i więcej min, niż mama była w stanie sama udźwignąć. Mieszczą się nagle na sofie trzy osoby, choć wcześniej zdaniem Kulci we dwie było im trochę ciasno. Nie wstydzi się biały bóg brać Kulcię na kolana, a na dodatek kanapy jako ciała fizyczne posiadają czasem oczywistą zdolność rozszerzalności cieplnej.

O mamę i jej szufladę ważnych spraw, w której składa się wszystkie Kulcine kartki ze szpitali, klinik i przychodni, biały bóg też umie troszczyć się lepiej. Podzwonione jest zawsze

wszędzie, zanim mama zdąży przyjść, zdenerwować się i poprosić. Pierwszy tatuś wobec białych bogów był niemy, wobec ich pomocników – zbyt wyniosły.

Biały bóg mamy chodzi z nią, czasem z Kulcią też, do kina. Jeśli już z Kulcią, jest, jakby mama wybrała się dodatkowo, nie Kulcia.

Mama milczy, ale tak, że czuć, że odpoczywa po prostu przy budowaniu więzi rodzinnych; nie wyłącza się zupełnie. Usuwa się w cień, dając białemu bogu przestrzeń w podzięce za wszystkie dotychczasowe kartoniki. Śpi z otwartymi oczami, chodząc, mówiąc i udając twarzą banana. Powolutku i ze spokojem pozwala sobie na nadrobienie wszystkich tych środków tygodnia, kiedy po dwunastu godzinach w budżetówce leciała zobaczyć *Sekretne życie zwierzaków domowych* albo *Vaianę*. Kulcia pamięta dokładnie, które razy to były, bo praca stawiała się wtedy *robotą*, a Kulcia - *Juleczką*, ale tak z przekąsem. Na *Pięknej i Bestii* mama wydawała się całkiem szczęśliwa. Szczęśliwsza – gdy szykowała Kulci duży talerz kanapek i szła spać na trzy czy cztery godziny. Tylko w weekendy, jeśli wszystkie pokoje posprzątane. Najszczęśliwsza – kiedy poszła do białego boga i dostała karteczkę z dziewięcioma cyframi, nie z długim słowem, co szybko stawia na nogi. Kulcia umie teraz rozpoznać ten numer telefonu, nadal przypięty do lodówki. A tamto to był antybiotyk.

Oglądają dziś *Gru, Dru i Minionki*, biały bóg namawia Kulcię na karmelowy popcorn, nie na plastikowe powietrze. On zresztą mówi en dwa o, a z Kulcinej nazwy jakiś czas temu śmieje się trochę, ale śmieje się miło.

Wracają do domu i siadają na sofie, co się znów od serdeczności magiczno-fizycznie rozciąga. Kulcia czytać już nie chce, bo sama potrafi.

Mama podchodzi do regału, co wspina się na palce, by dzielnie rozciągać się od podłogi do sufitu każdego dnia. Zdejmuje album z najwyższej półki, tej, do której jeszcze Kulcia nie sięga. Raz Kulcia sięgnąć próbowała, biblioteczka zaatakowałaby ją, jeśliby akurat biały bóg nie stał w pobliżu.

Mama wraca do nich.

Kulcia pod Pałacem Piękną Studnia. Kulcia z krokodylem. Kulcia z brodą błyszczącą od waty cukrowej, wciąż z okruszkami torcika Sachera między zębami. Przełożonego dżemikiem z brzoskwinek, nie powiedziałem.

Dlaczego nie powiedziałem?, biały bóg pyta.

Co to powidło?, Kulcia też pyta, akcentując, jakby wypowiadała słowo *paskudztwo*.

Śliwki usmażone i, no wiesz, zamknięte w słoiku. Całkiem dobre, wyjaśnia biały bóg.

Śliwki?, dziwi się znów Kulcia żywa, nie ta ze zdjęć.

No, wiesz, śliwki. Pycha. Bierzesz miąższ do ust i czujesz, jakbyś jadła serce kogoś, kto się całe życie taplał w słodyczy, biały bóg mówi, zaskoczony przebiegiem rozmowy dużo bardziej niż wtedy, gdy go Kulcia w przychodni nazwała *tatusiem*.

Mama piorunuje białego boga wzrokiem. On nie rozumie, chyba po raz pierwszy i ostatni naprawdę nie rozumie. Niezwykle zjawisko, anomalia pogodowa, błąd językowy bez odzywania się. Mama zatyka sobie uszy, żeby nie słyszeć. Nie chce. Jeść i żeby Kulcia jadła.

Biały bóg mamę tuli, tłumaczy, wreszcie mówi, żeby nie wydziwiała. Ubiera się, schodzi na dół, do osiedlowego sklepiku, przynosi Kulci tych śliwek ze dwadzieścia.

Kulcia rozgryza je wszystkie po kolei, płynne złoto skapuje jej po dłoniach. Słodziutkie. Biały bóg, zachęcony, bierze jedną, mamy przy stole nie ma.

Mama rzyga w łazience.

Dziewucha o Julii: Julia czeka, co się stanie, czeka sama, nikt inny nie wie, no tak, przecież śliwkowy potwór był tylko dla niej, niemówienie tym, których kochasz, o swoich śliwkowych potworach powoduje, że może i cię ci bliscy nie uznają za świra, ale w ostateczności nie będą wiedzieli, jak ze śliwkowym potworem walczyć albo gorzej – sami go wywołają, niechący, z niedouczenia, przez przypadek.

Ostateczność ma miejsce wczoraj.

Czeka teraz Julia na huk piorunu, na ogień, który mógłby buchnąć z kosza na śmieci z niewiadomej przyczyny, a w którym Kulcia by się spaliła, ona z T. Szymczakiem cudownie by ocaleli; na widelec wetknięty do gniazdka Kulciną rączką, nie, nie taką znów rączką, porządną dłonią dziewczynki. Czeka na darmo, zdziwiona, że T. Szymczak nie chce niczego wiedzieć ani o śliwkach, ani o wymiocinach, jednych i drugich się przecież przeoczyć wczoraj nie dało. Aż w końcu mówi sobie Julia, że jeśli teraz nastąpi wreszcie jakaś katastrofa, już z całą pewnością nie będzie to wina węgierki cioci Irenki.

Dziś niedziela, dzień, kiedy żadni lekarze nie przyjmują, to znaczy zazwyczaj. Mają jechać z Kulcią i T. Szymczakiem do wielkiej galerii handlowej po drugiej stronie miasta, żeby obejrzeć, jak się później okazuje, dziewięć terrariów z pajęczakami, które to dziewięć terrariów billboardy w Tarnowie hucznie nazywają wystawą. Dzień na zachcianki, rozpoczynający się tradycyjnie gromkim *Jul-kaaa* z ust T. Szymczaka, po którym wiadomo, że powinny natychmiast zbierać się obie; *Julka* to słup na rozdrożu, Kulcia z Julią spotykają się pod słupem na rozdrożu między Julią a Kulcią tylko w dni na zachcianki. Jest dla kogo żyć w obliczu wszystkich Julkowych tragedii, zwłaszcza tych, co się nigdy nie wydarzyły, pożarów, porażen prądem i pożarć przez potwora. Wszystko na pe. I dziś mieli Kulcię po zachciankach prosić, też na pe, żeby się Kulcia zobaczyła z babcią od strony pierwszego tatusia za parę dni. Z teściową, tą raczej w porządku niż nie, choć mamą W. Szymczaka jednocześnie.

Obejście terrariów zajmuje Kulci mniej niż kwadrans, a chodzi wyjątkowo powoli, w końcu Kulcia. Gdy już jej żadne do zobaczenia nie zostaje, kwituje, że w Austrii mieli lepsze.

Potem kolej na zachciankę wspólną, Julii i Kulci, to znaczy kej ef si, biorą sobie, jak zwykle, trzy kubki na trójkę, bez sosu barbecue, wiadomo, czym sos barbecue pachnie. Kulci oddają, też jak zwykle, wszystkie stripsy; ich kurczaki składają się zaś z kości i panierki, mięso widać przy taśmowej produkcji pominięto niemal całkowicie. To nic, to nic, kostki wciąż są lepsze niż śliwki, a poza tym Kulcia strasznie z tych swoich kurczaczków szczęśliwa, a mieli ją dziś prosić, prosić na pe, żeby się w piątek po szkole zobaczyła z mamą W. Szymczaka, która przecież zupełnie niewinna temu, że się jej synowi wydawało, że Kulcina choroba jest na chwilę, a Julia – na zawsze. Może jednak trochę. Troszeczkę winna.

Zostaje zachcianka ostatnia: zielonypunkt, zgodnie, mango, ejcz end em, działanie, dom i ty, takie rzeczy, Kulcia z T. Szymczakiem niech sobie idą w tym czasie pooglądać elektronikę, muzykę, prasę i książki, głównie pewnie te ostatnie, on na biografiach i wspomnieniach, ona na dziecięcej.

Taszcza ze sobą czarną torbę, to znaczy z zewnątrz czarną, od wewnątrz kartonowo-beżowo-jasnobrązową, i raczej on taszczy, w sumie niesie w jednej dłoni, jakby siatka nic nie ważyła. Kulcia ma prostsze zadanie: nie przewrócić się. Nawet jej się udaje.

Julia kończy rundkę po sklepach bez ani jednej nowej koszuli, bez ani jednych spodni, bez ani jednego kubka, szklanki, świeczki, stroika, poduszki, formy do tarty ze śliwkami, bez choćby tych drobnych kamyczków, które obciążają czysty spód w piekarniku, gdy smaży się nadzienie. Na parkingu podziemnym śmierdzi nieżywym czymś lub kimś.

Wracają do domu w milczeniu.

Siadają przy stole, zdaje się Julii wciąż klejący od płynnego złota. Temat trudny zaczyna T. Szymczak, przecież nie Julia, ludzie złoci, skoro już ma takiego – stę od trudnych tematów pod ręką.

W piątek cię odbiorę ze szkółki, oferuje biały bóg łagodnie.

Kulcia wietrzy intrygę.

Przecież zawsze mnie odbierasz, to po co mówić.

Ale myślałem, że może byśmy, wiesz, po szkółce do babci podskoczyli. Na chwilkę.

Do babci numer ile?, Kulcia pyta, wciąż jeszcze z zaciekawieniem.

Numer... Numer trzy. Do babci Tekli. I, wiesz, dobrze by było, gdybyś jej nie mówiła o tym numerowaniu babć pod względem fajności. I tatusiów, tak przy okazji.

Kulcia czerwienieje, okrągłe żelki od patrzenia wkrótce na własnych nogach wyjdą z dziur w Kulcinej twarzy, które na co dzień służą oczom za mieszkanie.

I wyście mnie po to... Po to... Po to zabierali na pająki i kurczaczki, żebym się łatwiej zgodziła? Po to, nie? Bo po co innego? Oczywiście, że po to, odpowiada Kulcia sobie sama.

Poddenerwowana Kulcia zaczyna gadać i rozumować jak ktoś znacznie od niej doroślejszy, nie, raczej w sposób, w jaki wydaje się jej, że rozumują i gadają osoby od niej dojrzałe na postawie wielu obejrzanych z Julią odcinków *Ukrytej prawdy*. Wkurzony zombiak chodzi w kółko po kuchni, z uszu idzie mu para, chodzi zombiak i chodzi, coraz bardziej pocąc się i objając o meble, póki Julia nie wstaje i nie chwyta zombiaka za ramiona.

Foszyć się o pierdoły też ci zderzone kuleczki kazały, kochanie?, Julia pyta.

Trochę to *kochanie* brzmi jak *Juleczka* podczas *Sekretnego życia zwierzaków domowych*, Kulcia cała się spina. Wrywa się Julii, chyba wyłącznie dlatego, że ta się tego nie spodziewa; pędzi Kulcia przez salon, otwiera sobie drzwi, pędzi przez korytarz, nadal spięta, z jedną ręką sztywno uniesioną wysoko, o której bogowie za siedmioma biurkami spekulowali, że może mieć podobną funkcję, co długa tyczka linoskoczka.

Dopada kolejnych drzwi, otwierać ich nie musi, bo lato, zatem otwarte, za tymi akurat otwartymi w lecie drzwiami nic więcej nie ma, tylko ulica; na ulicy nic więcej, tylko samochód,

który już przecież prawie dojechał na swoje miejsce parkingowe, więc sądzi – jest wręcz pewien – że mu się żaden wypadek nie przytrafi.

Kulcia spięta, zdenerwowana, z rozbieganymi bąbelkami w środku – nie wiadomo do końca, co takiego kazały jej ten ostatni raz zrobić - wbiega pod auto myśląc o niebieskich migdałach, które przewraca ją i rozłupuje jej czaszkę, a z którego wkrótce wysiada gość w średnim wieku. Wysiada i podchodzi niepokojąco blisko, najpierw do niej, potem do Julii, zupełnie jak kiedyś, choć bez kitla, nagi, jakim go bóg z kościoła stworzył.

W śmiertelnym ubraniu, powiedziałaaby Kulcia, gdyby jeszcze mogła cokolwiek.

Dziewucha o Kulci: Kulcia jest duża, duża, duża, większa nie będzie w każdym razie. Koniec rośnięcia wygląda podobnie jak początek, wiadomo, nic dziwnego, biali bogowie mogą wszystko. Ten, co ją dziesięć lat temu z maminego brzuszka w wielkiej panice wydzierał, nie zmienia się aż tak. Kulcia poznaje go zresztą na ulicy bez problemu, choć w poznawaniu na ulicy chyba chodzi bardziej o pomachanie i pójście dalej niż przypadki podobne do dzisiejszego. Kulcia kiwa panu Piotrowi Świętemu głową na potwierdzenie, że to był -padek; przy-, nie wy-.

Oczywiście, że Kulcię to niespodziewane z białym bogiem spotkanie bolało, ostatni raz, ale nie pierwszy. Po prostu dużo miała życia do wybaczenia, więc na jedną, dodatkową właściwie sprawę machnęła ręką. Tą chorą, schylającą się przez całe dziesięć lat do ziemi pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni, teraz wygiętą nienaturalnie na asfalcie, zdrowa wygięta tak samo, naprawdę bez różnicy.

Kulcia chce do mamy szybko wrócić. Krzywi się i leca łezki. Mamie też leca, ale inne, ona nie chce do mamy. Biały bóg mówi smutno. Dlatego mamie coraz bardziej leca.

Koniec rośnięcia wygląda podobnie jak początek, wiadomo, nic dziwnego, biali bogowie mogą wszystko.

Dziewucha o białych bogach: Biali bogowie po tej Kulcinej porodośmierci tańczą, a Kulcia z nimi. Biali, znaczy: ulepiani teraz z gliny i równiutko oszkliewieni, bez jednego choćby pęknięcia. Ubrani w szaty pozbawione koloru: fartuchy, długie togi, suknie i surduty.

Tańczą wszyscy, pośnięci, zakłęci, w kręgu, w parach, nic im prócz siebie nie potrzeba, żadnego grania mówiącej kupki słomy.

Łątka z panią Maryją, Biedroński z panią Ewą, co zjadła jabłko, Kulcina mama z Hiobem, pan Adam z Kulcią, mama Kulcinej mamy z Prometeuszem, nawet ciocia Irenka z Eris kroczą miarowo, szumnie, groźnie i posuwiście zarazem, wśród nich inni biali bogowie z białymi boginiami. Między nogami tancerzy pełźnie wąż, a Kulcia rozpromienia się, że choć raz porusza się w ten sposób inna niż ona istota.

Zmęczona zabawą, pada wreszcie na chmurkę. Zasypiając, przykłada Kulcia policzek do Adamowego ramienia i słucha, jak jej biblijny tatuś bajeczkę opowiada.

W odległym królestwie żyje sobie księżniczka Julia. Dzielni rycerze bronią jej przed węgierkowym monstrem, które, budząc co rano mieszkańców odległego królestwa, staje pod wieżą księżniczki Julii, chichra się i śpiewa, pomagając sobie skrzypcami.

miałas, Julio, skrzynię trwóg

walczył z nimi biały bóg

Kulcię auto zmiecie

a i wy pomrzecie

ostał ci ze śliwek stwór

*ostał ci ze śliwek stwór*¹

Dziewucha o sobie: Byłam Kulcią siedem lat temu.

¹ zob. S. Wyspiański, *Wesele*